

wie cały świat objechałem i spotykałem wielu ludzi — ale tylko raz udało mi się poznać człowieka, który był zupełnie zadowolony ze swego życia, z siebie samego i z otoczenia. A warunki w jakich przebywał ów okaz, tak mało tłumaczyły jego zadowolenie, że istotnie przedziwna musiała być radość życia, kipiąca w tym człowieku.

Nie zapomnę nigdy okoliczności, w jakich go poznałem.

Przeszedłem zakażenie krwi w prawej nodze, którego nabawiłem się na Kubie i siedem tygodni leczono mnie w szpitalu marynarki. Gdy doktor uznał, że jestem już dość silny i zdrowy, aby na mojej półtora nodze uprawiać ogród szpitalny, wymknąłem się w nocy do portu, uważając, że siły moje zupełnie inaczej powinienem eksploataować.

Przez kilka dni tulałem się po porcie w Mobile, nie decydując się na żadne zajęcia, bo proponowano mi zaciągnięcie się do załogi okrętowej, a ja pragnąłem udać się w głąb lasów, na północ, bliżej do mej ojczyzny.

Podszedł do mnie jakiś starszy pan i spytał, czy szukam pracy. Gdy potaknąłem, oświadczył, że ma tartak o trzydzieści kilometrów na południe i dobrze płaci.

Namyslałem się. Nie miałem grosza przy duszy; obiady, ofiarowywane chętnie przez marynarzy za chwilę pogawędki, nie zawsze smakowały, zwłaszcza gdy sternik lub kapitan przychodził za wcześniej i nie zdążyło się przelknąć deseru, a czasem nawet pieczonego; ubranie wypowiedało mi już posłuszeństwo.

Ostatecznie, cóż znaczy jeszcze trzydzieści kilometrów? Zarobie, to pojedź dalej w kierunku północnym, niż jestem obecnie...

Zgodziłem się. Starszy pan poszedł ze mną na stację, kupił bilet, wsadził do wagonu i dokładnie określił, gdzie mam wysiąść.

Wagon, w którym jechałem, składał się — jak to w Mobile przyjęto — z dwóch oddziałów. Większy przeznaczony był dla nas, mniejszy dla murzynów. Rozlegały się tam wesołe śmiechy, głośne, specyficzne dla czarnej rasy. Śpiewano i grano na jakichś instrumentach — albowiem murzyn nie może się obejść bez muzyki.

Względnie szybko, jadąc cały czas przez lasy, dotarliśmy do wskazanej stacji. Wyśiadłem. Pociąg ruszył dalej. Przez chwilę zdawało mi się, że zostawiłem w przedziale mój bagaż, ale wnet przypomniałem sobie, że mam wszystko w kieszeni.

Na stacji dwóch murzynów ładowało skrzynki na wóz. Spytałem się o ich tartak, i dowiedziałem się, że właśnie tam pracują i zaraz jada. Ulokowałem się na wozie i przyglądałem murzynom. Jeden był czarny jak diabeł, ale rysy miał dość regularne; drugi był jeszcze czarniejszy i tak potwornie brzydki, że chyba tylko własnej matki nie raził szpetotą.

— Oto — pomyślałem sobie — twój ludzki, o którym zapominała historia rozwoju. Kto wie, może i śmierć o nim zapomni.

Ruszyliśmy. Nie będę opisywał drogi przez las, przepalony, suchy las, smutny i odarty z uroku, jak gdyby gorączka bogacenia się właścicieli tartaków i wyzysk robotników (o mało co nie powiedziałem — „niewolników“), zatrwały i unicestwiały aromat lasów.

Na tartaku przyjął mnie dozorca robotników. Niski, barczysty, jowialny człowiek o rozsmianej twarzy, rozsmianych oczach, rozwartych w śmiechu ustach. Wogóle wszystko śmiało się w tym człowieku, trząsał się pokaźny brzuszec, a pewien je stem, że nawet wielki palec skręcał się w bucie z wesołości.

Nie poznałem go jeszcze dobrze, a już wyczułem, że kipi w nim i wybucha radość życia, że zadowolenie i bezgraniczna pogoda ducha udziela się nawet otoczeniu.

Sposób, w jaki odnosił się do ludzi, był przyjazny, serdeczny, przepojony słońcem i wiecznym śmiechem.

Pierwszy to raz widziałem białego dozorca, który uważał murzynów za ludzi. Zdumiało mnie to, zdziwiło i zachwyciło. Zazwyczaj taki dozorca nosił duży rewolwer w kieszeni, a bat w rękę, kłął i wymyślał tak, aż pot spływał mu po twarzy wielkimi kroplami, a murzyni zlorzeczyli i cierpieli. Ten biały pozostał człowiekiem! Było to dla mnie zdarzeniem niezwykłym, prawie objawieniem.

W tej małej Utopii zrozumiałem, że praca i przyjaźń mogą iść ręką w rękę i że można śmiać się, zamiast kłąć.

Dnia tego zakończono już pracę i wszyscy udawali się do swych domostw. Prócz dozorca nie widziałem jeszcze białego — więc spytałem go, gdzie wszyscy mieszkają. Wtedy to dowiedziałem się, że on i jego rodzina są tu jedynymi przedstawicielami naszej rasy.

— Ale nie rób sobie nic z tego! — zawołał. — Zamieszkaż oczywiście u nas.

A widząc rozczarowanie i niezadowolenie, malujące się na mem obliczu, dodał:

— Będzie ci tu dobrze, zostań tylko. Nie odchodź. Musisz zostać z nami. Przyzwyczaj się. Zobacysz jak tu pięknie. Tak dobrze się bawimy! Wieczorami w sobotę gra orkiestra, tańczą, wesela się, śpiewają. Ach, gdy usłyszysz tę muzykę! Tę muzykę radości i wesela, ognia i krwi! A ludzie! Takich ludzi nie spotkasz nigdzie. To najlepsi ludzie pod słońcem!

— Bardzo możliwe — wtrąciłem — ale mimo to — murzyni!

Miałem zamiar uciec stąd, gdy tylko zapadnie mrok. Obawiałem się trochę, bo właściciel tartaku kupił mi bilet i obowiązany byłem wziąć się do pracy. Prawa w krajach Południa są srogie dla robotników — niewolnictwo płynie jeszcze w krwi.

Narazie przeto milczałem, niedowierzając memu towarzyszowi. Zawiodłem się już na niejednym pogodnym i śmiejącym się.

— Chodź prędko! — zawołał znowu. — Pokażę ci matkę i dzieci. Niedługo pora wieczery. Mam śliczne córki i rozkoszną żonę. Chodź, pokażę ci je.

Zadowolenie tego człowieka ze wszystkiego, co go otaczało, od murzynów po-

czawszy, skończywszy na żonie i dzieciach, wydawało mi się niewiarygodnym. Podejrzewałem, że ma trochę przewrócone w głowie. Taki błogostan w leśnym pustkowiu, wśród szwargotu czarnych i huku tartaku, upewniał mnie w tem przekonaniu. Udałem więc cierpliwego — i postanowiłem czekać ciemności.

W kuchni drewnianego domku zostałem powitany przez jego żonę, trzydziestokilkuletnic, trochę ciemną piękność. O mało mnie nie uściślakala, tak się ucieszyła widokiem białego człowieka. Zawołała na córki. Weszły dwie dziewczyny siedemnasto i osiemnastoletnia, piękne, smukłe, świeże i pojętne.

Jakiś bies szepnął mi:

— Powinieneś jednakże pozostać tu czas jakiś...

Nim się obejrzałem, siedziałem przy smacznie zastawionym stole, otoczony całą rodziną. Mówili jedno przez drugie, śmiali się, żartowali. Z oczu całej czwórki tryskała ta sama radość życia, która zadziwiła mnie u ojca. Robili wrażenie rodzeństwa. Córki ścisnęły i całowały ojca, bawiły swą pustotą nas wszystkich, swawoliły i śmiały się perlistą, srebrną gamą.

Mój zamiar ucieczki coraz bardziej obracał się w niwecz.

Po wieczery usiedliśmy na werandzie. Z sąsiednich sadyb dochodziły melodyjne dźwięki wielostrunnych murzyńskich instrumentów. Mrok zapadł, a od lasu szła żywiczna, nieznaczną wilgocią nocy wywołana woń.

— Nigdy nie będziesz żałował, żeś tu pozostał — odezwał się dozorca, a trzy kobiety potaknęły skwapliwie.

— To, co dziś czujesz — ciągnął dalej — czułem ja przed dwudziestu laty. Tak, minęło już dwadzieścia lat... Zobacysz! Przybyłem tu biedny i samotny — teraz mam najlepszą żonę, najpiękniejsze dzieci, dostatek i spokój. Dziwne to miejsce. Trzeba je pokochać. Teraz uśmiechasz się, ale i ty je pokochasz. Zostań tydzień — a zostaniesz miesiąc. Zostań miesiąc — a zostaniesz rok. A potem dwadzieścia lat i — zawsze. Będiesz wtedy przepojony szczęściem i radością — tak jak ja...

Było już późno. Powiedzieliśmy sobie dobranoc. Usiadłem w przeznaczonym dla mnie pokoju przy oknie i myślałem nad słowami „człowieka szczęśliwego“. Czyżby odgadł przyszłość? Czyżby któraś z jego pięknych córek miała się stać łańcuchem, wiążącym mnie na zawsze z tym bezkresnym lasem południa? Ale czy ten człowiek i to przewidział, że trzeba na świat przynieść w sobie ten uśmiech pogody, tę radość życia, aby, tak jak on, kochać murzynów, kochać pracę, kochać tartak i to powszednie życie.

Może stehórzyłem — może postąpiłem niegodnie — ale wyskoczyłem przez okno i uciekłem. Gnała mnie troska o moją przyszłość, pęd do szerokiego świata, do przygody, do swobody.

Może... uciekłem od własnego szczęścia, bom go nigdy nie spotkał, tak samo, jak nie spotkałem więcej człowieka, któryby był tak szczęśliwy...  
Tłum. Ir.



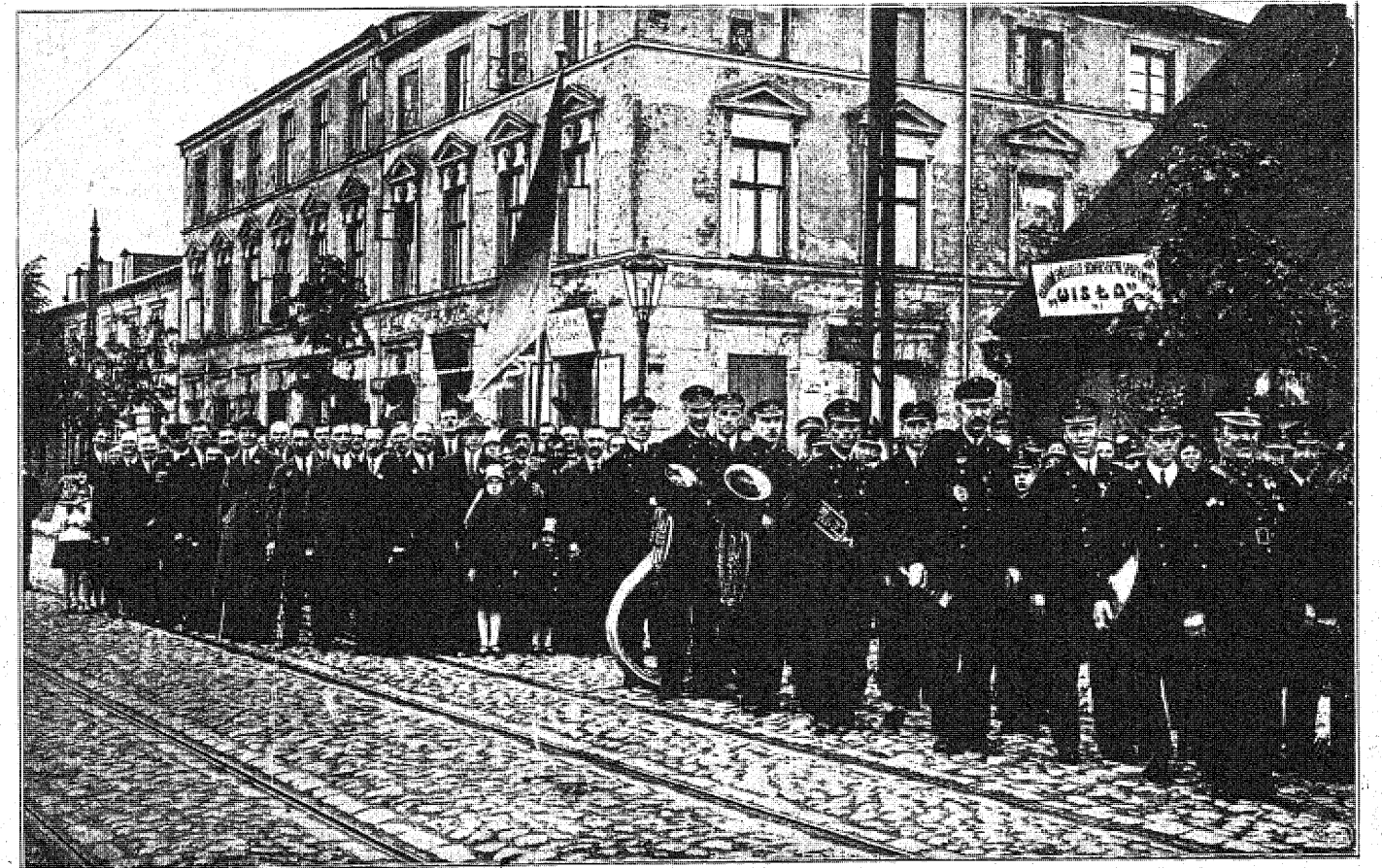
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, dnia 19 czerwca 1927 roku.

Nr. 25.

## Święto Spółdzielczości w Łodzi.



W dniu 12 b. m. związki zawodowe i zrzeszenia kooperatystów uroczysto obchodziły „Dzień Spółdzielczości“.

Fot. A. Meyer.

## Teatralja.

Z twórczości operowej. — Imprezy objazdowe. — Ciekawe wydawnictwo. — Wywiad z Pirandellem. — Najnowszy pomysł.

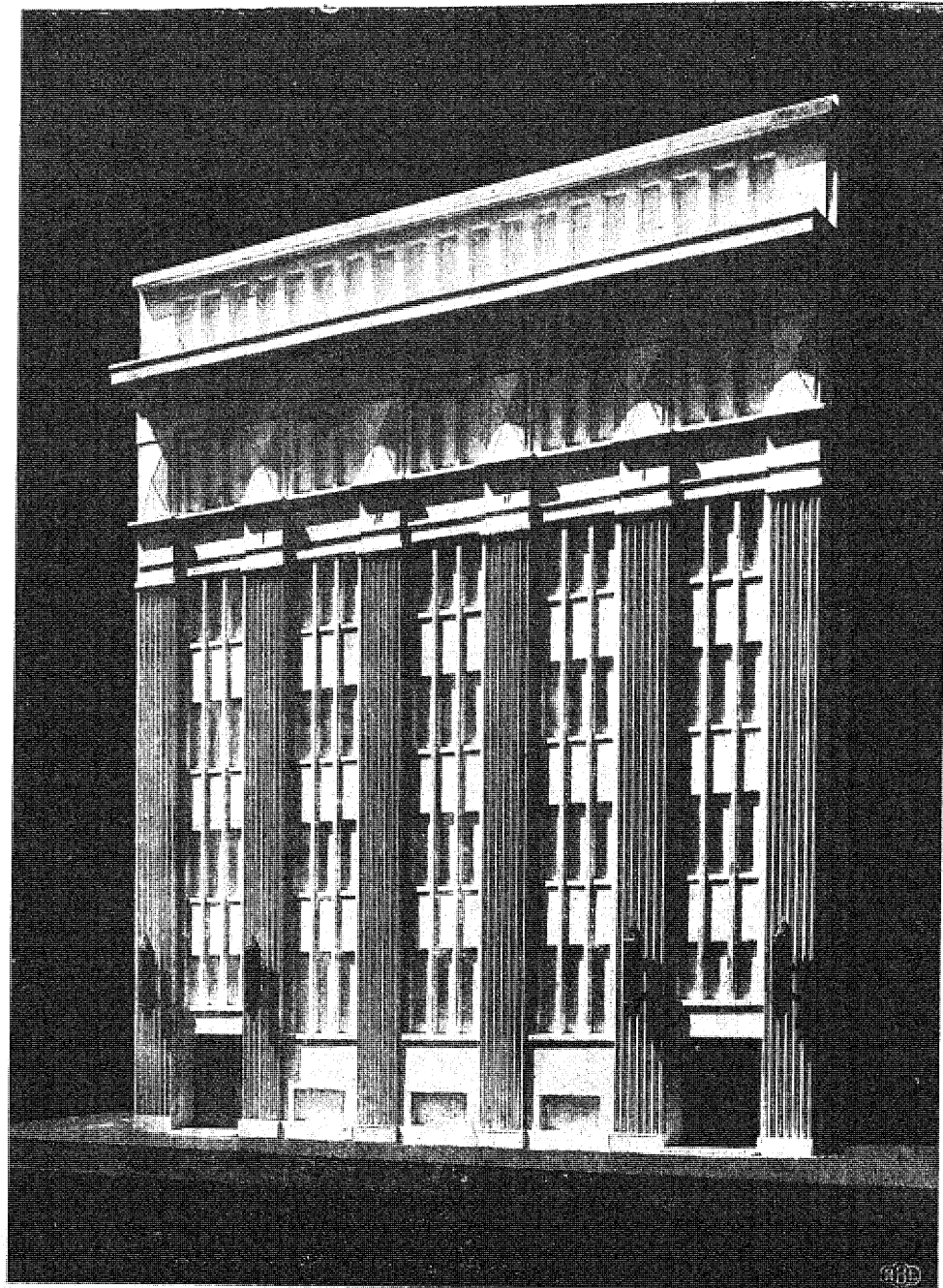
W Operze warszawskiej wystawiono w tych dniach bardzo mało znaną publiczności polskiej dwuaktową operę Adama Wieniawskiego p. t. „Megae”. Libretto jej, zaczerpnięte z podań japońskich, a oparte na wzniosłym i dramatycznym motywie: odkupienia przez miłość, odznacza się oryginalnością i poletem, nadającym całości świeżą i piękną barwę. Muzyka, jakkolwiek pochodząca z pierwszego okresu twórczości autora („Megae” powstała przed kilkunastu laty), zdradza dużą kulturę muzyczną kompozytora oraz swobodę i pewność w operowaniu efektami dynamiki orkiestrowej. Poważne zalety całego dzieła urwpukiło nader staranne jego wykonanie, przez pp.: Leska, Lipowską i Dygasa w rolach głównych.

Dopełnieniem zbyt krótkiej jak na wieczór widowiskowy „Megae” jest fragment baletowy „Uczta u króla Heroda”, wyjęta z niewystawionej dotychczas opery Adama Wieniawskiego p. t. „Aktea w Jerozolimie”. Wartość artystyczna tego fragmentu, wystawionego starannie, ale z niejednakową w szczegółach pomysłowością, nie może, oczywiście, określać w dostatecznym stopniu poziomu i charakteru całości „Aktei”. W swoim zakresie — wiele oklasków zbierają pp.: Zajlich, Szmolcówna i Szymańska za efektowne kreacje choreograficzne, na kamwie „Uczty” produkowane.

Wśród nowych oper niemieckich, powstałych na podłożu muzycznego modernizmu, znacznie sukcesy odnoszą: „Golem” — d'Alberta, „Cardillac” — Hindemitha i „Jonny” — Krzenella. Sukcesy te nie przekraczają jednak, naogół biorąc, scen niemieckich; jedynie Praga i Leningrad ujawniają tendencje do bliższego zapoznania się z najnowszą twórczością operową Niemiec. „Golema” wystawiono również w Gdańsku — gdzie poważne jego powodzenie przesądziło sprawę subsydjum władz Wolnego Miasta dla miejscowego teatru operowego.

Wielką sensację w kołach artystycznych niemieckich wywołało wystawienie w operze wrocławskiej — klasycznej już dziś operetki Sullivana — „Mikada”. Sullivan, jak dotychczas, jest jedynym szczęśliwym następcą Jana Straussa, którego operetki też były wystawiane w wielkich teatrach operowych. Co się tyczy np. Warszawy, w swoim czasie odbyło się kilka przedstawień „Pięknej Heleny Offenbacha z udziałem wprawdzie artystów operowych, ale nie na scenie Opery.

W związku z podniosłą uroczystością sprowadzenia prochów Juliusza Słowackiego na ziemię polską i projektowanemu — wśród innych punktów programu uroczystości — przedstawieniami teatralnymi dzieł autora „Balladyny”, — tworzy się szereg zespołów objazdowych, mających za zadanie zapoznać najbardziej nawet odległe prowincje z twórczością dramatyczną Wieszcza. Prócz zespołu, organizowanego staraniem „Rodziny Wojskowej” w celu obja-



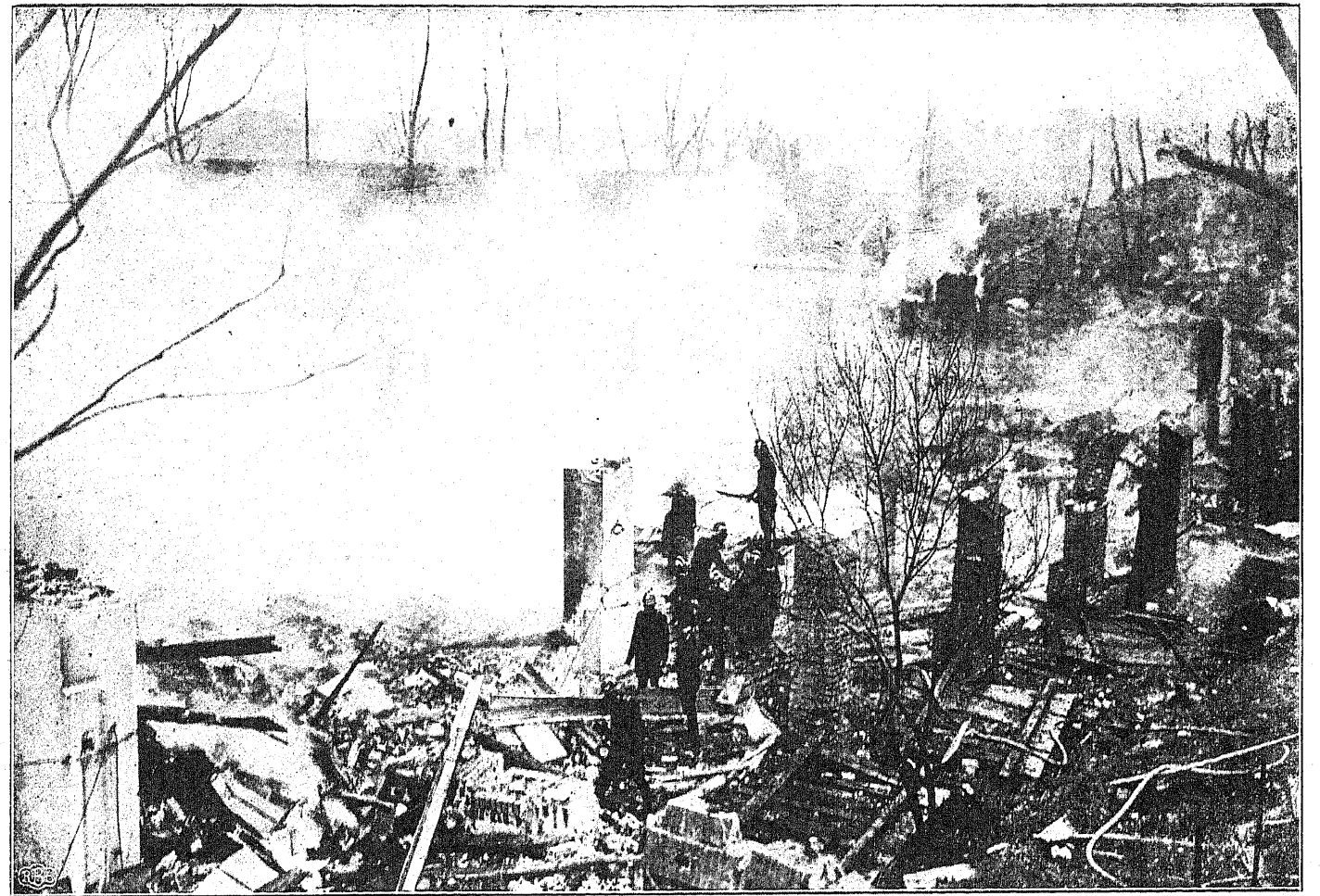
W dniu 12 b. m. odbyło się uroczyste poświęcenie fundamentów pod budowę stacji telefonicznej w Łodzi przy Alejach Kościuszki Nr. 12. Na zdjęciu projekt nowego gmachu P. A. S. T. Y.

zdu miast i miasteczek garnizonowych, dowiadujemy się o powstaniu innego objazdowego zespołu dramatycznego pod kierunkiem pp. Michorowskiej i Ferskiego. Zespół ten, posiadający do dyspozycji własne dekoracje, rekwizyty i kostjomy, mieszczące się w specjalnym wagonie rozpoczyna swe tournée wystawieniem „Księdza Marka” z p. Tadeuszem Skarżyńskim w roli tytułowej. W programie pracy zespołu przewidywane są poranki dla młodzieży, popołudniówki dla wojska i szerszych sfer oraz przedstawienia wieczorowe. W składzie trupy pp. Michorowskiej i Ferskiego spotykamy m. in. dobrze znane Łodzi nazwisko p. Lucjana Wiśniewskiego.

Na półkach księgarskich ukazała się interesująca książka b. długoletniego sekretarza i kierownika literackiego lwowskich

teatrów miejskich p. Artura Schroedera, zatytułowana: „Awantury teatralne”. Jest to szereg lekkich i dowcipnych szkiców, ukazywających niewtajemniczonym „odwrotną stronę” świata kulis. W zajmujący sposób opowiada autor codzienne sprawy, troski i radości teatralnego środowiska, m. in. stosunki i nieporozumienia z autorami, grafo-manami, aktorami, łowcami „kartek”, niepowołanymi doradcami, komisją teatralną — słowem, wszystko to, co stanowi treść ciężkiego, codziennego istnienia każdego teatru wogóle, a teatrów miejskich w szczególności. Nie biorąc zresztą wszystkich tych historii zbyt tragicznie, autor, dzięki wrodzonemu swemu dowcipowi i pogodzie ducha, umiał uczynić tomik „Awantur teatralnych” lekturą miłą i zajmującą.

W jednym z wydawnictw zagranicznych



Echa strasznego wybuchu prochowni pod Krakowem. Na zdjęciu nasza akcja ratownicza straży pożarnej w pół godziny po wybuchu na fortach w Witkowicach.

spotykamy wywiad z Pirandellem, pełen interesujących wynurzeń znakomitego dramaturga. „Pisanie jest dla mnie koniecznością życiową — mówił Pirandello — jest właściwie moim życiem. Żyję, ażeby pisać, lub piszę, aby żyć. W ostatnich latach napisałem 35 dramatów i przygotowuję 5 nowych. Piszę łatwo, wszędzie, w pracowni, hotelu, w wagonie sypialnym, nawet na scenie podczas przedstawienia”. O t. zw. kryzysie w teatrze wyraża się autor „Sześciu postaci”, jak następuje: „Niema żadnego kryzysu. Mam już sześćdziesiąt lat, a zawsze slyszalem o istnieniu „kryzysu w teatrze.” Gdy sztuka podoba się, znajdzie się zawsze publiczność...” Na pytanie, które z swych sztuk Pirandello najbardziej lubi, odpowiedział on: „Wszystkie potrosze. Uważam jednak, iż najwięcej ekspresji posiadają sztuki: „Tak jest, jak się wam wydaje”, „Sześć postaci scenicznych w poszukiwaniu autora”, „Henryk IV”, „Jak dawniej, lepiej niż dawniej”.

W bieżącym miesiącu Pirandello wyjechał z własną trupą do Ameryki Południowej i Środkowej, gdzie w główniejszych miastach dawane będą serje przedstawień. Podróż potrwa aż do końca grudnia, poczem Pirandello ma objąć stanowisko dyrektora Teatru Narodowego w Rzymie. — Najnowszy dramat Pirandella, grany m. in. podczas obecnego tournée nosi tytuł: „La Corona”.

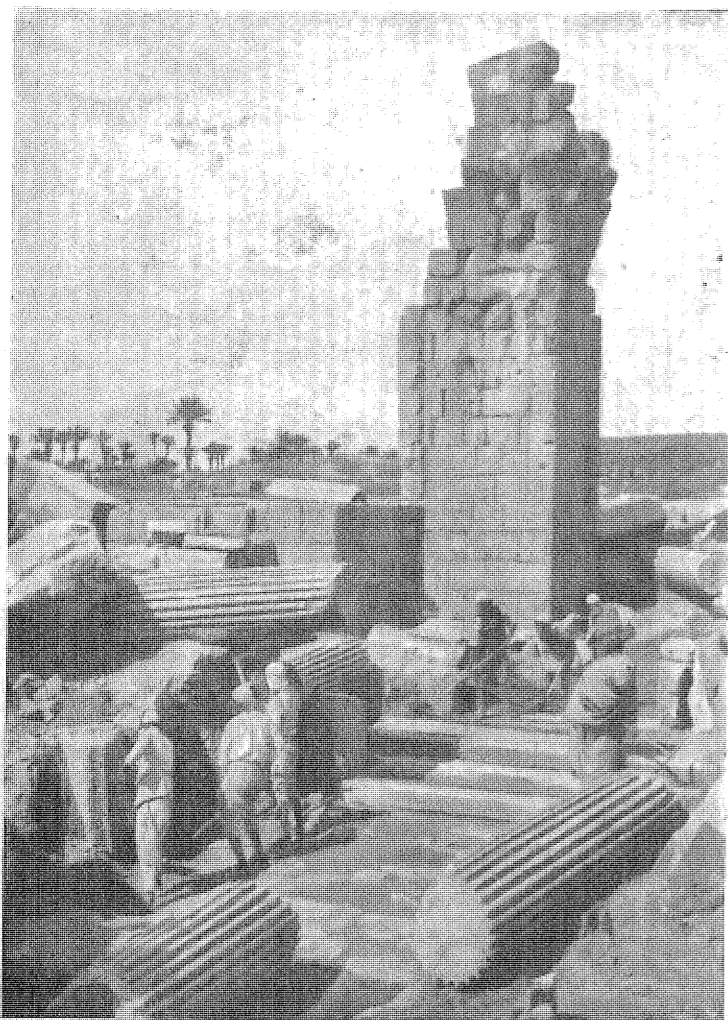
Jedno z medjolańskich czasopism tea-



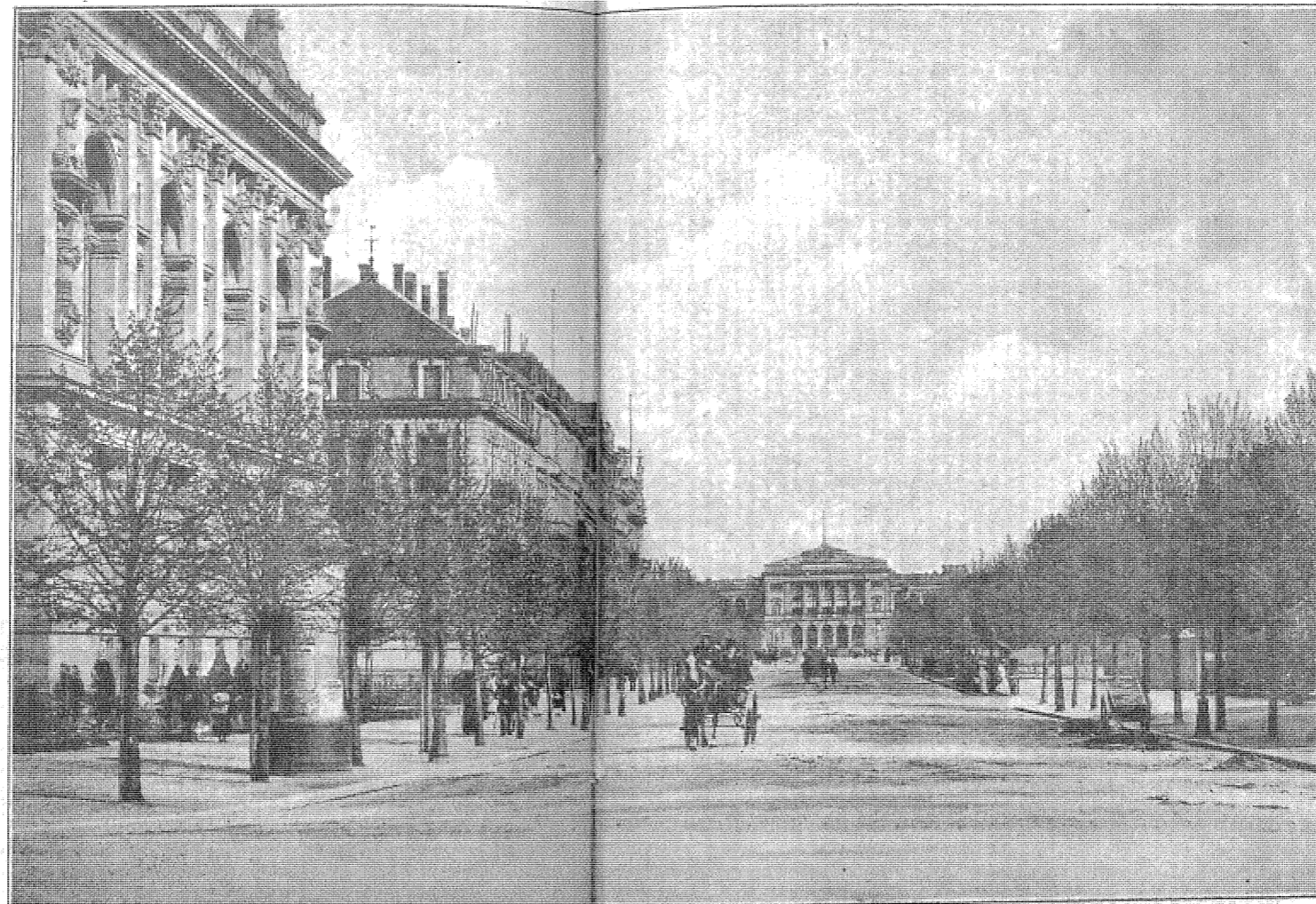
Członkowie Towarzystwa Zwolenników Sportu w Łodzi, zdobywcy I, II, III oraz przechodniej nagrody pucharu kryształowego w biegu „Expresu Północnego” w Warszawie pp. Waliński, Klosowicz i Marczewski.

tralnych ogłosiło konkurs na — „radjodramat”, wyznaczając pierwszą nagrodę w kwocie 2,500 lirów. Dramaty, nadesłane na konkurs, będą nadawane przez stacje w Rzymie, Medjolanie i Neapolu, o wyniku zaś

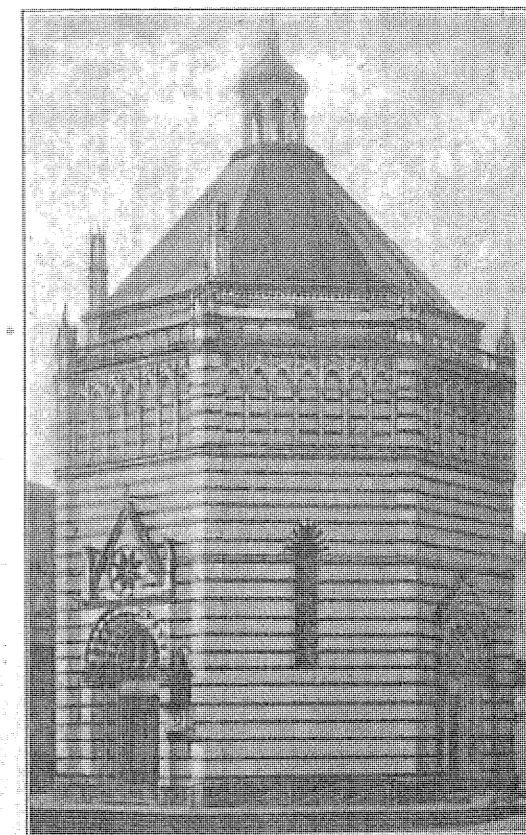
konkursu zadecyduje plebiscyt radjoodbiorców, którzy listy swe z uzasadnieniem oceny dramatów kierować będą do głównej stacji radiowej w Rzymie. Pomysł prawdziwie nowoczesny!... Delta.



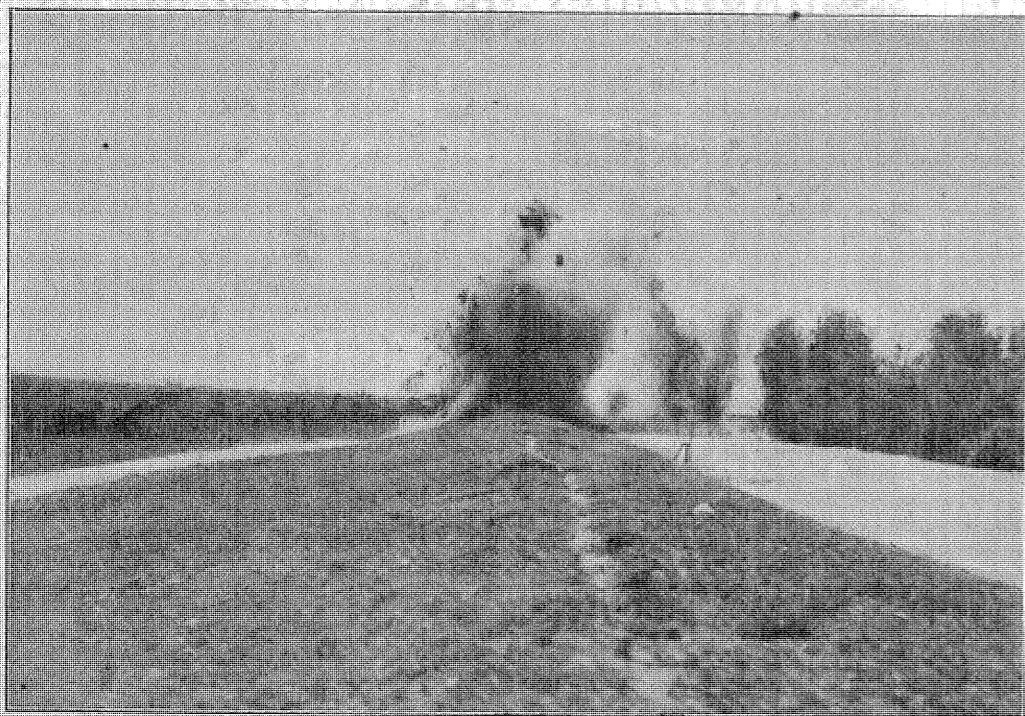
Leptis Magna. Łuk czterostronny.



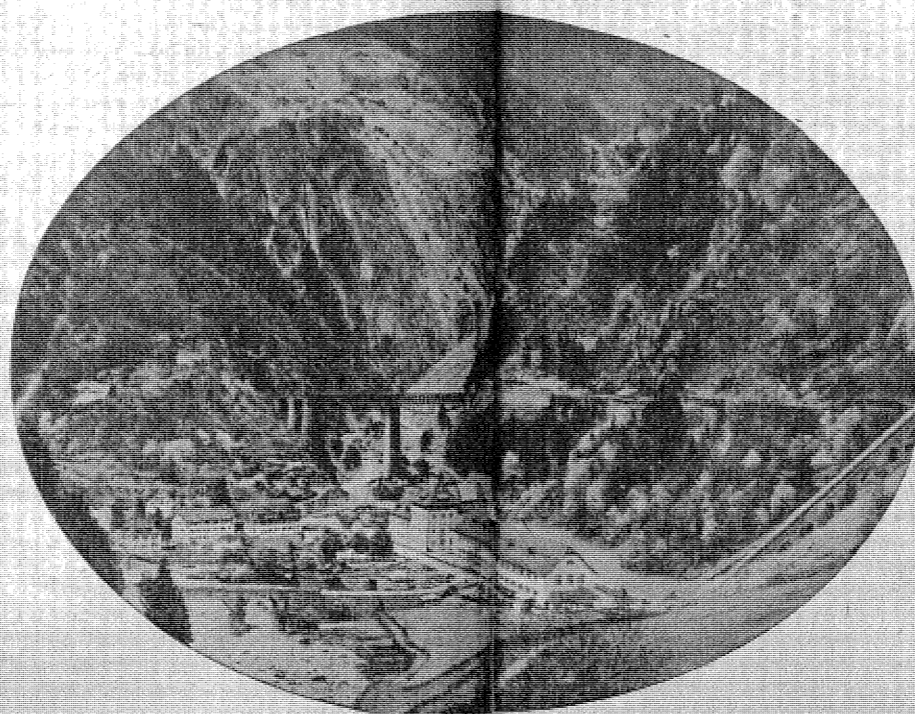
Dzisiejszy Sasburg. Widok na uniwersytet.



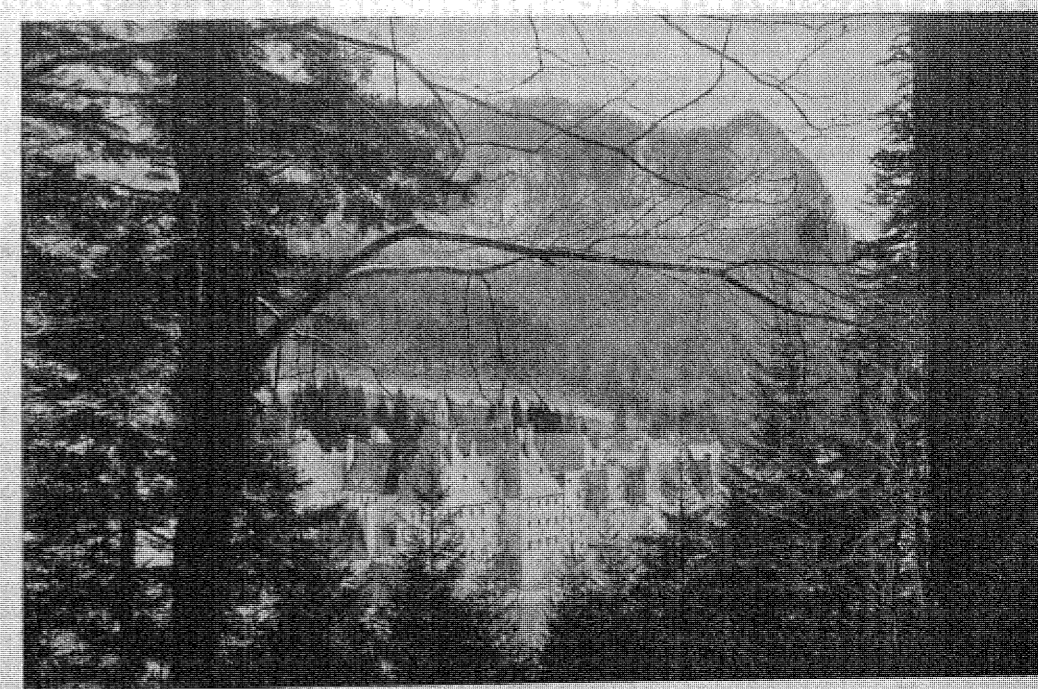
Kazalnica kościoła św. Andrzeja w Pistoii.



Wielki kataklizm powodzi w St. Zjednoczonych. Z rozkazu min. Hoovera wysadzono niektóre tamy nadrzeczne w celu ratowania Nowego Orleanu.



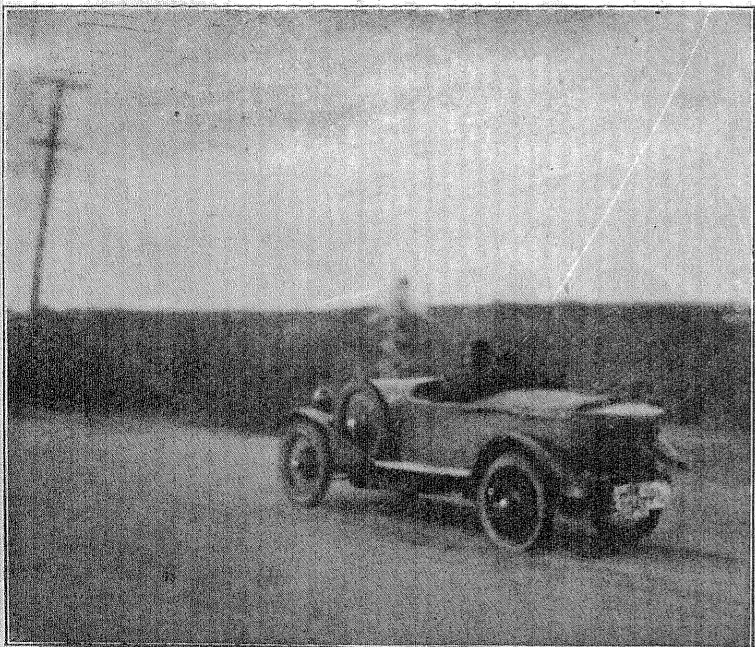
Elektrownia wodna w Amsterdamzie silająca kolej Gethardzka.



Widok ogólny budynków poklasztornych w La Grande — Chartreuse.



4 mistrzów rakiety: mistrz świata Jan Borotra i Zuzanna Lenglen.  
U góry Lacoste, u dołu Tilden.



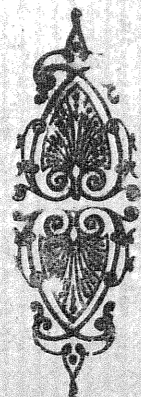
Moment z wyścigów samochodowych w Warszawie.



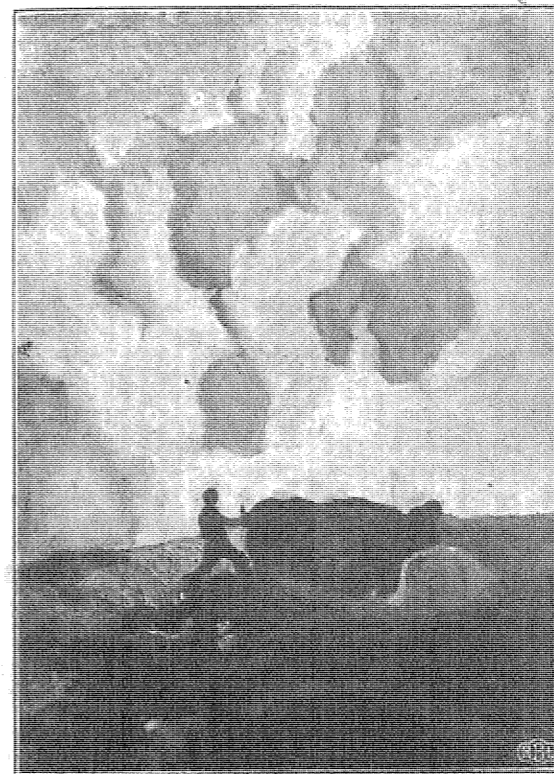
Bottechia (Włochy) najznakomitszy kolarz szosowy świata.



Drużyna piłkarska „Legii” podczas ostatniego pobytu w Łodzi.



Zbyszek Kwieciński, syn znanego kolarza Wacława.



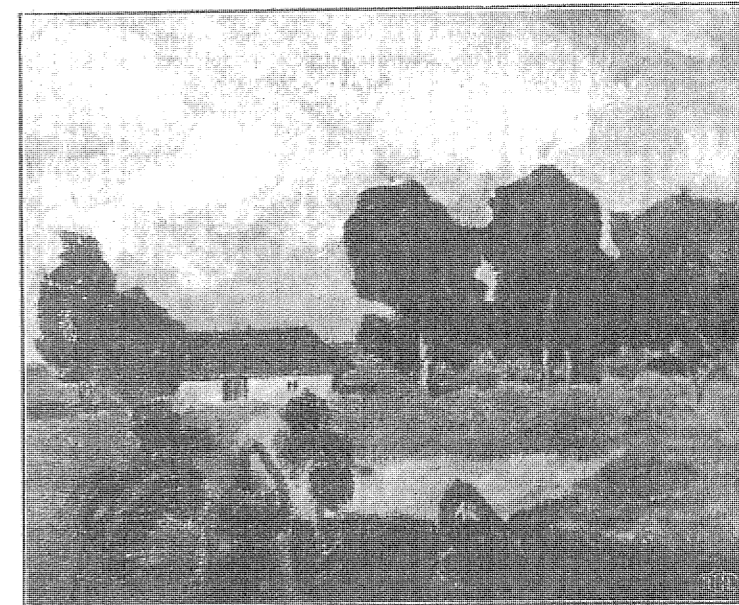
Z. Poduszko

„Orka”



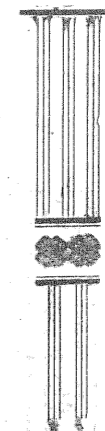
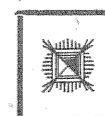
Z. Poduszko

„Wczesna Wiosna”



Z. Poduszko

„Osada”



Art.-malarz Zenobjusz Poduszko urządził zbiorową wystawę swych prac w Miejskiej Galerii Sztuki.



W imieniu p. Prezydenta Rzeczypospolitej starosta łódzki p. Rzewski trzymał do chrztu świętego syna włościanina z Dzierżanzy, niejako-go Fronczaka. Na zdjęciu starosta w otoczeniu przedstawicieli władz i wieśniaków przed kościołem w Modłej.

## Srebrne wesele.

Na małym stoliku, obok odświętnie nakrytego do śniadania stołu, leżały prezenty. Pan Sobotka, wiedząc, że stroje i biżuterię żona najchętniej kupuje sama, zadowolił się bukietem róż, których łodygi owinięte były banknotami. Ona kupiła laskę, wykończoną słoniową kością, córka książki i rozmaite drobiazgi, maleńka wnuczka wyrecytowała, wielce wzruszona — wierszyk okolicznościowy, zerkając przytem bezustannie na obok stojące słodycze.

Zostali sami. Pan Sobotka objął panią Marię, przystojną i świeżą, mimo lat czterdziestu pięciu, i całując ją serdecznie w czoło i usta, rzekł:

— Czy pamiętasz jeszcze, jak to było, kiedyśmy pierwszy raz wspólnie jedli śniadanie?

Pani Maria zarumieniła się, jak młode dziewczę i łagodnie gładząc srebrzyste włosy męża, odparła:

— Och, tak. Zupełnie jakby to było wczoraj. Pamiętasz, po obiedzie pojechaliśmy daleko na spacer...

Zamiłkli, myśląc o przeszłości, która przyniosła dużo szczęścia, dużo zawodów... Czuli, jak harmonijnie biją ich serca...

Gospodarskie kłopoty odwołały panią Marię do kuchni. Stefan skierował swe kroki do gabinetu. Tam otworzył dolną szufladę biurka i począł szperać w listach, notatkach, rachunkach i fotografiach, stanowiących razem dwadzieścia pięć lat życia.

Listy od żony zebrane były w oddzielnej paczce. Pan Stefan począł wyjmować jeden po drugim i, uśmiechając się, czytał pisane z pierwszych wywcześniejszych lat, pełne tęsknoty. Jeden z nich przycisnął mocno do ust. Zawierał on tylko parę słów: „Ty, mój najukochańszy! W łonie mojem bije serce Twojego dziecka — jestem szczęśliwa! Przyjedź radować się wspólnie ze mną“.

Listy lat następnych były już nieco obojętniejsze, bardziej realne, mimo to pełne serdecznej, kobiecej tklivości.

Sobotka odłożył listy żony i szperał dalej. Nagle wzdrygnął się gwałtownie — w rękę trzymał zamkniętą żółtą kopertę z napisem „Błyskawica“. Na lewo i na prawo od tego napisu biegły dwie promieniste strzały.

Ręka trzymająca list drżała. Spojrzył w przeszłość z przed dwudziestu lat. Tak, akurat dwadzieścia lat miał ten list! Wszak w 1903-im roku wrócił z Rosji jego przyjaciel lat młodzieńczych, Staś R. Przyjechał po wielu latach nieobecności, zdobywszy sobie przez ten czas sławę znakomitego architekta. Przyjaźń odżyła na nowo, łącząc tym razem troje ludzi. Staś i pani Maria rozumieli się doskonale, szczególnie w dziedzinie muzyki, w której Stefan czuł się zawsze obco.

Pewnego dnia, było to już wiosną 1904 r. w Stefanie zbudziła się zazdrość. Jedno uchwycione spojrzenie, zmieszanie przyjaciela

la i rumieniec na twarzy żony, gdy wszedł niespodzianie w czasie ich wspólnej gry i... podejrzenie paliło, jak trucizna.

Aż przyszedł dzień, w którym zawezwany został telegraficznie do B. Miał wrażenie, że na wiadomość o tem zabłysły radośnie oczy przyjaciela, Maria zaś zadrżała.

Postanowił dojść prawdy. Przed wyjazdem udał się do agentury detektywów „Błyskawica“ i wydał krótkie rozporządzenie: „Obserwacja pani Marii Sobotki i architekta Stanisława R. przez dni siedem, od jutra począwszy“. Należność uściślił z góry, dokładne sprawozdanie polecił przelać pocztą.

Po tygodniu wrócił z B. Zastał Marię bladą, zmęczoną, dziwnie zmienioną. Łkać, rzuciła mu się na szyję:

— Jakże się cieszę, żeś już wrócił.

— Co słychać u Stasia, czy widywaliście się często?

— Staś?... Staś został nagle zawezwany do Rosji... prosił, żebym ci oddała pozdrowienia...

W przedpokoju zabrzmiał donośnie dzwonek.

— Poczta, proszę pana.

I po chwili siedział Stefan, tak, jak dziś, przy biurku, z żółtą kopertą w drżącej ręce. Spazm chwycił go za gardło, pot kroplity wystąpił na czole.

Nagle doszedł go radosny, dziecięcy głosik: „Tatuszku, tatuszku!“ Otworzyły się drzwi i w progu stanęła pani Maria z maleńką Lusią na ręku. Dziecko objęło ojca za szyję i przytuliło główkę do jego twarzy, pani Maria łagodnym ruchem gładziła

włosy męża, wtedy jeszcze nie srebrzyste.

I pan Stefan listu nie otworzył, tylko go schował do szuflady, starając się stłumić w sobie wszelkie podejrzenie.

Przyjaciela nie widział już nigdy. Architekt udał się daleko na Wschód i zmarł tam przed laty na żółtą febrę.

Dziś trzymał Stefan znowu w rękę żółtą kopertę. Obracał nią na wszystkie strony, oglądał, wreszcie powoli i z urwąga rozciął jej brzeg. Miał przed sobą odpowiedź na pytanie zadane przed dwudziestu laty.

„W związku z poleceniem Sz. Pana z dnia ... zawiadamiamy niniejszem, że obserwacje nasze przyniosły, co następuje: 20 maja r. b. pani Maria Sobotka opuściła mieszkanie swoje o godzinie 4 po poł. i udała się dorożką do hotelu „Victoria“, w którym mieszkał pan architekt Stanisław R. Pan R. oczekiwał panią S. przy wejściu, poczem zaprowadził ją niezwłocznie do swego pokoju, który zarażnął za sobą na klucz. W pokoju byli do godziny 7-ej. O 7-ej pani S. udała się z powrotem do domu. Następnego dnia...“

Pan Sobotka nie czytał dalej. Odetchnął głęboko, przesunął ręką po czole, podniósł się znowu i zbliżył do pieca, wsunawszy list do wewnątrz, podpałił zapalką i patrzył, jak papier z sykaniem zamienił się w maleńką garstkę popiołu.

Pan Sobotka podparł głowę rękoma i myśli: — Czyż życie każdej kobiety musi mieć tak straszne tajemnice...

Spolszczyła W. J.



Typ kaszuba.



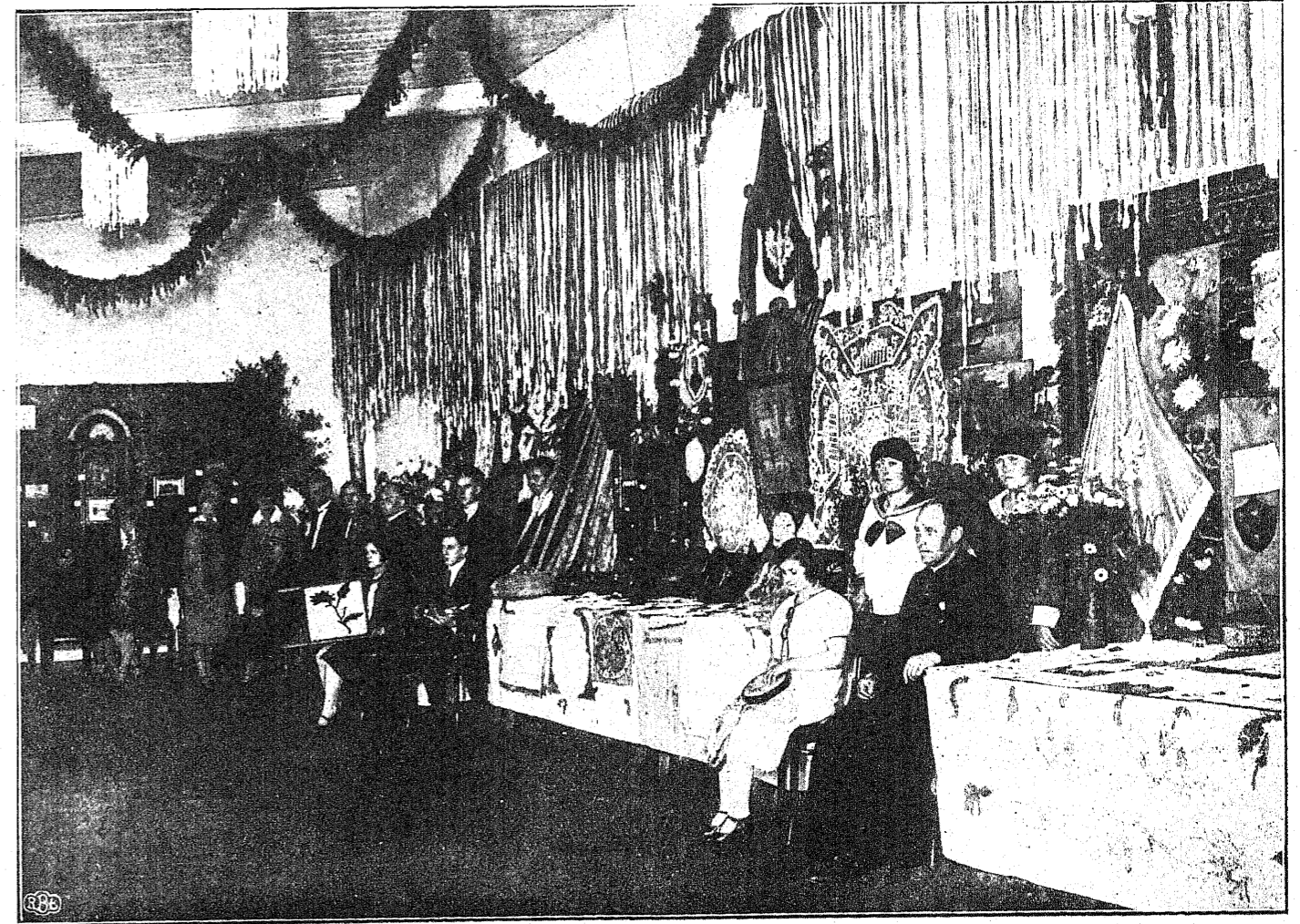
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, dnia 26 czerwca 1927 roku.

Nr. 26.

## Wystawa prac Związku Młodzieży Katolickiej w Łodzi.



Łącznie z poświęceniem siedziby Związku Młodzieży Katolickiej w Łodzi w dniu 12 b. m. otwarta została w gmachu przy ul. Gdańskiej 111 wystawa robót ręcznych tejże młodzieży. Fót. A. Meyer.